



*W*iečna
*r*zeka

STEFAN ŻEROMSKI



*Wienna
rzeka*

Klechda domowa

STEFAN ŻEROMSKI

*Wierna
rzeka*

Klechda domowa



**S
M**
WYDAWNICTWO

Tekst *Wiernej rzeki* na podstawie: Stefan Żeromski, *Wierna rzeka: klechda domowa*, wyd. J. Mortkowicza, Warszawa-Kraków 1937; opracowanie redakcyjne: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak; na podstawie edycji zamieszczonej w serwisie Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl; CC BY-SA 3.0).

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Projekt makiety i skład: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: **Dreamstime.com**: © Alexcoolok (główna ilustracja), © Cougarsan,

© Olga Lepeshkina, © Artem Stepanov

© Copyright for the cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

ISBN: 978-83-8348-002-2

I

Ocknęło się znów zimno targające wnętrzności — i cierpienie, co raz w raz jak toporem rozrąbywało głowę. W prawym biodrze ból szarpał się nieustannie, niby hak węzy żelaznej, wrywany na zewnątrz. Co chwila ogień niepojęty, nieznanym zdrowemu ciału, latał po plecach, a ciemność pełna wielobarwnych iskier oślepiła oczy. Ranny zawinął się i zatulił w półkożuszek, który jeszcze za dnia zdarł był z żołdaka ubitego w zaroślach na brzegu rzeki. Nagie nogi i skrwawione biodra wpychał głębiej w stos trupów, szukając tych dwu ciał, które ciepłem broczących ran rozgrzewały go w ciągu nocy, a wyciem i jękiem budziły ze snu śmierci do łaski życia. Lecz tamci dwaj ucichli, ostygli i stali się równie ohydni, jak zagon skrwawionem okryty ścierniem. Ręce i nogi, poszukujące ciepła jeszcze żyjących, trafiały wciąż na obmokłe i śliskie zwłoki.

Podźwignął głowę.

Zobaczył zmysłem wzroku dokonanie, które był przeżył — spostrzegł to dzieło nowe, które w duchu przecierpiał. Leżeli w kilkuset, tworząc w zmierzchu rannym białą górę — podobijani, gdy padli z ran, na rozkaz wodza nieprzyjaciół, rodaka i niedawnego spiskowca — obdarci przez wojsko ze szmat do ostatniego gałgana — roztrzęsieni na bagnietach — po dziesięć razy do ziemi przybici

szttychem oficerskiej szpady, pchniętej na wskroś — z głowami rozwalonymi kulą z lufy przystawionej do czoła — porozgniatani przez pędzące koła armat Czengierego.

Zrudział daleko przypiaskowy grunt od krwi, co do ostatniej kropli z tych zwłok wyciekła. Zmiękły grudy twardej oraniny. Roztajął śnieg. Wleczeni w to miejsce ze wszech stron za nogi zamietli do czysta włosami szeroką niwę. Ugrabili ją kostniejącymi palcami. Naszeptali w zagony ostatnich słów i pokąsali je w ostatnim szlochu.

Oniemiało i zacichło małogoskie pole. Ostatni żywy żołnierz patrzył w nie przez mgłę półśmierci przy brzasku cichego poranka.

Zdało mu się — dopiero co stały w tym miejscu konie... Jeszcze dudni ziemia, gdy ze śmiertelnym krzykiem pędzą we trzystu towarzyszy na zdrajcę! Gdzież źrebiec? Gdzie pałasz? Gdzie pod stopą żelazne strzemię, ostatni towarzysz?

Nie słychać już łoskotu granatów Dobrowolskiego, zasypujących dolinę. Znikły flankiery kozactwa i dragonów, co przez cztery z górą godziny miotały tyralierski ogień. Skąd wybuchały kępy i kłęby dymów a błyskał ogień, wzgórze strome od południa szarzeje w ci-szy. W zachodniej stronie biała smuga cmentarnego muru, gniazdo Jeziorańszczyków, jazdy, armatek... A tam, pośrodku, gdzie stała piechota — nie ma nic! Z dubeltówkami, bijącymi na sto kroków — u nogi — stali pod ogniem rotowym nieprzyjaciela, co w nich celował, jak do tarczy, z karabinów, niosących na tysiąc pięćset metrów. Czekali cierpliwie z wytrwałością Greków — przyjdź i weź! — aż wróg się zbliży na strzał, aż padnie rozkaz — do ataku. Leżeli teraz zwaleni na jeden stos. W odległości kłębiły się i wałęsały nad niziną dymy miasteczka, do przyciesi spalonego przez wojsko. Raz w raz szeroki płomień jak skinienie chorągwi nieubłagania podrywał się ze zgliszcz, popielisk i dymów — migotliwym blaskiem naigrawał w mrokach śmierci i postrzępionym językiem mówił ku czarnemu niebu. Wtedy rozzierający krzyk ludzki, spomiędzy czarnych piecowisk wybuchający, dosięgał uszu rannego — obojętny już dla

serca i niezdolny podźwignąć ramienia. Podobnie jak nad zgłiszczami ogień zrywały się w człowieku czucia, lecz jak on w czarnym dymie ślepych cierpień gasły.

Puścił się drobny deszcz ze śniegiem. Zawiała z lasu nad Łośną mokra mgła. Przeciągnęły tumany po nagich i stromych wzgórzach, wlokły się po nadrzeczu i przez pole. Zwilżyły twarz, jakoby mokra chusta. W tej mgle rannej dawał się widzieć włochoaty od świerków, ciemny las. Z jednolitego zastępu drzew ciągnął na nagie pole jak gdyby ciepły podmuch — łaskawy poszum gałęzi. Chwiały się powolnym ruchem długie, powyciągane spławy, nisko rozpostarte, obmokłe wiechy, wołając głuchym głosem, żeby tamtędy uciekać.

Ludzi żywych nie było. Nikogo — nigdzie. W pobliżu leżał zabity człowiek, który miał na nogach brudne zgrzebne spodnie. Przekręciwszy się przez zagon, ranny począł zdzierać zeń tę odzież i co tchu wciągnął ją na swe nagie, dygocące nogi. Szukał oczyma na trupach butów, lecz ani jeden ich nie miał. Wszystkie zzuto i zrabowano. Nagle we wschodniej stronie, od Bolmina, rozległ się łoskot armatniego strzału. Po nim drugi... trzeci... Ten dźwięk obudził życie. Coś w całym jestestwie drgnęło i ruszyło siły. Bitwa! Do broni! Do szeregu! Począł w tamtą stronę czołgać się na czworakach, bruzdą, co tchu! Lecz już po kilkunastu poruszeniach zapadł na nowo, głową między skiby. Prawa noga wlokła się bezwładnie. W biodrze rwał ból. Zmacawszy to miejsce, inwalida trafił dużym palcem ręki na głęboką opuchniętą dziurę, z której skąpo, lecz wciąż krew się sączyła. Na lewe oko nie widział. Wyczuwał palcami w miejscu brwi, powieki, gałki ocznej i policzkowej kości wypukłą bulwę, w której ogień wciąż drgał, sypiąc wielobarwne iskry. Nie było już oka, lecz dziwne i rozśmieszające zjawisko wielkiej narośli. Głowa zrąbana szablami w bitwie wysączyła we włosy dużo krwi, która zastygła w zlepiania, w sople i utworzyła na czaszce istną czerwoną czapkę. W piersiach, między żebrami, w ramionach narzywały rany od wielokrotnych pchnięć bagnetu. Ale mocniejsze niż

wszelki ból było zimno. Żelazną garścią chwyciło za skrwawione włosy, zapuszczało w kości i między żebra szpony, potrząsając zrąbane półwłoki dreszczem bez pardonu. Ono to gnało naprzód. Powłókł się znowu na bałyku. Raz na dwu rękach i lewym kolanie, drugi raz na stopie i dłoniach, gdy bezwładnie ciągnęła się prawa noga — czyniąc z całej figury obraz wielkiej śmieszności istotnego nieszczęścia. Tak dowlókł się do pierwszych drzew lasu. Chwiały się w zimowym deszczu i we mgle świerkowe gałęzie. Spadał z nich na ziemię niemowny szum. Ani w nim nie było żałości, ani współczucia, ani miłosierdzia, ani pogardy. Długo spływał ten zimny szum na serce półumarłe.

Samotnik dźwignął się na rękach i, objąwszy pień pierwszego w lesie drzewa, stanął na nogach. Nasłuchiwał odgłosów bitwy. Nic nie przerywało ciszy. Patrzył na pobojuwisko. Nie żałował ani tych, co w czarnym polu leżeli, ani siebie, ani dzieła. Jedyne czucie osiadło w jego piersiach, jedyna myśl pod skrwawionymi włosami: bić się. Patrzył był, jak żołnierze mordowali rannych żołnierzy, jak półżywych odzierali ze szmat... Nie było czym zagasić życia, które się zmieniło w hańbę i śmieszność. Pożałował legowiska między trupami. Począł się prosić o śmierć. Padł na ręce i twarz. Duszę ogarnął mrok...

Długo trwało bezczucie, bo gdy się obudził, słońce było wysoko. Z pola dochodził gwar. Uniósłszy głowy, zobaczył ludzi. Ciągnęli zwłoki kędyś popod górę. Ktoś ludziom tym wydawał rozkazy. Ranny poczuł w sobie przeraźliwą trwogę, że go żywcem zakopią. Począł uciekać. Czołgał się zaroślami świerczyny, wskroś śniegów na poły roztajających, po oślizgłych igłach sosnowych. Zdrętwiałe nogi rozgrzewały się od tego ruchu, od pełzania na kolanie i rękach. Śniło się w rozbitej głowie, że las zbiega, zakrywa zielonymi wełniakami, że przed złymi oczyma zasłania włochatym rańtuchem — że ktoś niewidzialny a przecie oczywisty chyżo-chyżo pokazuje drżącą ręką tajne dróżki między pniakami, wydeptane przez kwiczoły, szlaki przetarte stopkami i ogonami lisów. Kędyś, daleko w lesie na tej swojej

zawilej drodze, w głuchym ostępie napotkał krzywy kostur, uschniętą jedli gałąź, spadłą na ziemię z wysokości drzewa. W grubszym swym końcu zeschnięty ów spław miał sęk, który się wraz nadał jako oparcie pod ramię. Długość jego była akuratnie na kulę. Wsparłszy się na tym kiju, zbieg zadumał się przez krótkie mgnienie czasu, kto też podrzucił przed bezwładną nogą ten kostur na dzikiej drodze. Wszechmogący Bóg, czyli sam bezżałosny los? I roześmiał się z litości ich, mówiąc z głębi swej duszy, która niczego już nie chciała, ani od Boga, ani od losu, wszystko przeżywszy w powstańczych pochodach i bitwach — że tą litością ich pogardza i, że ten jej dowód może odrzucić precz! Ale wspomniał na braci pobitych, na popieliska Małogoszcza — i przycisnął do boku tę ostatnią broń. Przez całe jestestwo przeleciał jak gdyby zemściwy krzyk orła, a w serce wstąpiła zaciekleńca moc. Poczuł w sobie dziką, oszalałą, starą, od męki do cna okrutną duszę Czachowskiego. Poszedł teraz naprzód wsparty na swej kuli, wielkimi krokami, jak na szczydłach. Zdawało mu się, że zdąży w stronę Bolmina, na pomoc braciom. Od ruchów cielesnych bóle w biodrze, plecach i głowie stawały się nie do zniesienia, jak ciosy ognistego pręta. W kościach i żyłach zapalał się istny pożar, ogarniał głowę i dymem ciemnym zawlekał oczy. Bosa stopa w pochodzie swym raz w raz trafiała na sęki, korzenie, patyki, kolki i igły leśne ukryte w śniegu. Przebita do głębi krwawiła. Częstośćokroć zmordowane ciało waliło się w śnieg kędyś w zagaju podszewki leśnej, albo na mchu do głębi przemokłym. Objęty nagłym zimnem człowiek zrywał się na nowo i brnął w zmurszałym śniegu, w kępach zlodowaciałych borówek — brodził w długich, nieskończonych smugach leśnej niecierzy, znieruchomiałej po nizinach. Jak okiem sięgnąć, jak uchem zachwycić, las był pusty. Tam i sam leśny ptaszek zaczął się spłoszony szelestem kroków człowieczych — i daleko uciekał. Nieme wokół drzewa i nieme nad nimi niebo. Ziemia porośnięta przekłętą roślinnością, dręczącą poranione nogi. Krew sączyła się z ran. Ślady jej zostawały na śniegu, na gałęziach świerkowych, na badyłach i mchu.

W oczach upadającego co chwila las ów, dobrotliwy niedawno, wydłużał się, rozszerzał, otwierał coraz dalej — ukazywał swe chodniki przedziwne i zapadnie bez wyjścia, głębie głuche i kręgi, zachylenia półkoliste i międzydrzewne korytarze bez końca. Miały godziny, a nie przerzedzał się i nie kończył ów las olbrzymi. Tu i owdzie dźwigał się piaszczysty wzgórek, stromy i uciążliwy do przebycia, jak tatrzańska przełęcz. Leśna droga rozcięła obszary drzewne na dwie części i sama między nimi znikła. Wspierając się na swej kuli, zbieg dotarł do jednego z wydmuchów. Położył się na nim i tam postanowił spać na zawsze. Życie czy śmierć stały się równe i takie same. Tylko już nie trząść się z zimna, nie cierpieć dziwnych katuszy i nie myśleć! Zapomniał, w którą stronę brnąć dalej. Zmylił drogę...

Usnął od razu. Ale był to sen potworny, pełen widm i wrzawy. Las okalający zdawał się drgać i stękać. Wszystko w nim kipiało od ciosów szalonego serca. W głębi ziemi, na której strudzone ciało spoczęło, huczy — śniło się — grzmot podziemny i połyskują pioruny. Jęk boleści wyrывał się z głębin i jak miecz na dwoje rozcinał niebo.

Dreszcz gwałtowny dźwignął rozbitka znowu i pognął dalej. Na nowo zaczęło się czołganie z bezwładną nogą z prawej, sękatym kijem z lewej strony. Sunął na łokciach i kolanie, trzymając pod pachą znalazioną kulę. Stapiane w błocie i wodzie poły kozucha odrażającym zimnem przejmowały brzuch i piersi, a sucha jego na grzbiecie część potem krwawe rany zalewała. Stopy poprzebijane kolkami rozpuchły i zakrwawiały każdy moczar, każdą kałużę. Było popołudniu, bo słońce zachylało się za korony drzew. Ostrzejszy chłód dołem lasu pociągał. Ranny szukał dogodnego miejsca, żeby się zaszyć w leśne gęstwiny i doznać ochrony od zimna. Lecz teren wciąż był zwilgły, zarośnięty zeszlým szuwarem. Brał się więc w bok; to w jedną, to w drugą stronę i zabrnął w szarpiące chrusty, w dzikie jeżyny przysypane śniegiem, w wikle i rokitiny, pełne nastawionych kalców, jak pazury czyhającego szatana. Ponachyłane badyle leśnych malin i dzikie głogi szarpały

twarz i raniły ręce. Przebijał się przez te ostępy, przeklinając swą dolę. Wybrnąwszy zaś z tych zarośli, podniósł oczy i z głębokim zdumieniem, nagle i niespodziewanie ujrzał pole — pustą przestrzeń — nizinę łąki... Wydało się, że to Bóg odsunął wreszcie ręką dzikie głogi i dał spojrzeć w bezdrzewne pustkowie. W dali ciągnęły się ośnieżone wzgórza — pod ostatnim z nich widać było szereg chat wsi. Dymy nad nimi błękitne na niebie zaróżowionym... W pewnej odległości od tej wsi budynki szerokie o murowanych słupach, dwór z czarnym dachem rozsiadły wśród drzew. Widok ten tak był nieprawdopodobny dla powstańca po nieskończoności jednolitych drzew, że zdawał się być fenomenem snu, złudzeniem, naigrawaniem złego... Domostwa... Ludzie... Dym nad radosnym ogniem...

Nieszczęśliwy obalił się na ziemię. Leżąc, patrzył bezsilnie na białe obłoki, płynące w wysokim niebieskim przestworzu — na pochylą ziemię — na ludzkie osiedla. Ostatnie tak samo były dalekie jak pierwsze. Nic na ziemi i niebie nie chciało tej ofiary z ran i z przelanej krwi. Wszystko jej było wrogię. Ta ziemia, na którą upadła głowa, była głucha. Ślepy i niemy był przestwór. Zimny wiatr nadciągał z dala. Tylko ten daleki dym... Błękitny, prześlicznym zwojem płynący coraz wyżej, powoływał jak niepojęte a przecie przyjazne skinienie.

Ranny wypoczął — wstał i wsparty na kosturze pociągnął w kierunku wsi. Miejsce teraz było równe, bez chrustów i kolek. Śnieg za dnia odtajały, pokrywając się cienkim szklivem od wieczornego przymrozka, ułatwiał drogę. Nogi sunęły po nim snadniej i bez bólu. To na czworakach, to na kuli chory przemierzył całą prawie szerokość równiny. Słyszał już dolatujące ze wsi szczekanie psów, ryk bydła i głosy ludzi. Lecz między nim i krańcem tego błonia ukazała się nieoczekiwana przeszkoda: — rzeka. Ukryta w wysokich, obłych brzegach, wysłanych rudą murawą — zataczając się niezliczonymi półkolami, które tworzyły długi szereg półwyspów, rzeka biegła bystrym, czarnym nurtem. Z jednej i drugiej strony u brzegów była

obmarznięta, lecz nigdzie błona lodowa nie okryła całkowitej wodnej powierzchni. Powstaniec czołgał się wzdłuż brzegu, szukając ławy lub kładki, po której mógłby się na drugi brzeg przedostać. Nigdzie czegoś podobnego nie znalazł. Był zaś tak z sił wyczerpany, że iść dalej, wzdłuż zakrętów, wijących się jakby na przekór, jakby dla wydłużenia w nieskończoność tego marszu, nie było sposobu. Jak przedtem las, tak obecnie rzeka tworzyła nieprzebytą zaporę. Linia jej brzegu, która z drogi czyniła gzygzak, wijącą się wstęgę, była dla strudzonego nową formą natrząsania się losu. Poranione nogi okrążały półwyspy, wracając — zdawało się — w to samo miejsce. Naśmiewający się diabeł rzucił oto przed te nogi rzekę i puścił je w taniec, w płas na prawo i na lewo, bez końca i bez celu...

W pewnym tedy miejscu, gdzie woda rozlewała się nieco szerzej, brzeg był łagodniejszy, a głębia płytsza — ów polski tancerz przerwał swój płas, zsunął się do wody i począł w bród ją przebywać. A skoro tylko zanurzył się, doznał ulgi szczególnej. Zacerwieniła się wokoło niego czarna rzeczna woda. Zabulgotał, jak gdyby z głębi jęknął, wart jej środkowy. Tkliwym po tysiąckroć chlustaniem, pracowitym myciem woda oczyściła każdą ranę, a jak matka ustami wycalowała z niej srogość cierpienia. Wchłonęła w siebie ta rzeka prastara i wiecznie nowa szczydrą powstańca krew, zliczyła jej krople, skrzętnie w siebie zabrała, pojęła w głębiny, rozpuściła w sobie, wessała i dokądś poniosła — poniosła... Zbieg opłukał w zimnej wodzie rozpuchnięte nogi i, drżąc ze straszliwego zimna, wy dostał się na brzeg. Zgrzebne spodnie przyłgnęły do nóg i nieznośnie ziębiły, lecz je na sobie dla wstydu zachował, idąc o kiju, w górę, ku wsi. Łąki się tam kończyły i poczynały pola, od nizin odgradzone. Środkiem ornych niwek ciągnął się wygon w opłotkach. Ten szlak szeroki, pochyły, zdeptany od kopyt bydłych i zryty w rozmaitych kierunkach ścieżkami głębokimi, pełen był podmarzłego błota. Ranny laź ostatkiem sił, trzymając się żerdzi i wspierając na kiju. Na tej drodze mozolnej, która mu się wydawała być bez końca, spo-

tkali go ludzie idący z cebrami i wiadrami po wodę do rzeki. Byli to mężczyźni i kobiety, starzy i wyrostki.

Ujrzawszy go, przystanęli i ciekawie mu się przyglądali. Ktoś z tego tłumu huknął w kierunku wsi, ktoś inny pobiegł tam z pośpiechem. Młody powstaniec szedł dalej, ślizgając się bezsilnie po marznącym błocie.

Od strony wsi poczęli nadciągać chłopci, gospodarze w sukmanach i kozuchach. Jedni z nich zbliżali się statecznie, inni biegle, coś między sobą gadając. Na przedzie tej gromady zstępującej z góry szedł wieśniak z blachą żółtą na piersiach. Ten postępował śmiałym krokiem, a stanąwszy w pobliżu, mierzył oczyma krwawego przychodnia. Zapytał:

— Człowiek — coś jest za jeden?

— Widzicie, że jestem ranny... — odpowiedział zapytany.

— A każ cię to tak poranili?

— W bitwie.

— W bitwie? Toś ty powstaniec?

— Powstaniec.

— No, bracie, skoro sam powiadasz, iżes buntownik i żeś w bitce był, to my cię w areszt zajmujemy.

— Dlaczego?

— Do miasta cię musimy odstawić.

— Wy, mnie?

— Juści. Pójdź z nami. Ja tu sołtys.

Czerwony gość tej wsi milczał. To byli właśnie ci, dla których wolności z pańskiego domu poszedł był spać w polach, w zimie, na roli — przymierać głodem — jak pies słuchać rozkazu — bić się bez broni — i tak oto z placu boju wracać. Podchodzili do niego wszyscy wraz, półkolem.

Wtedy rzekł:

— Puśćcie mnie wolno, bo przecie ja za waszą swobodę i za wasze dobro się biłem i takie na sobie mam rany.

— E, takie gadki to my już słyszeli... Ty se ta gadaj, a tu jest przykaz. Chodź, bracie, z dobrawoli.

— Dokąd mam iść?

— Tera pójdziesz z nami do wsi. A potem, to się dowiesz.

— Co myślicie ze mną zrobić?

— Na sianie cię położymy, to se ta spocznieś. Sianem się wóz wyściele i do miasta cię odstawimy pod wodą.

— I to wy, mnie...?

— Nie nasze dzieło. Taki przykaz — i pokój.

Ranny milczał i spokojnie patrzył na nich wszystkich. Zimno go trzęsło. Uśmiechnął się smutnie do myśli, że z takim trudem przez las i rzekę brnął, ażeby wreszcie przyjść do celu...

Ktoś w tłumie odezwał się:

— Ij, takiego ta wieźć! Sprzężaju szkoda. Toć toto do figury w Borku nie dojedzie i uświerknie.

— Widzieliście, moi ludzie, jaką to magierę czerwoną ma na łbie...

— Jakiemuś chłopu ukradł te czerwoną czapkę, panie?

— Bez rzekę przelazł... Woda mu z kozucha ciecze...

— Ludzie! Boso toto idzie...

— Kajeś buty zgubił, te „wolność”?

— Z daleka to tak idziesz, panie wojskowy?

— Kozuch ma jakisi ze znaczkem.

— Pewnie ukradł...

Sołtys nastawał, swarząc się ze swoimi, jakby u całej gromady szukał potwierdzenia urzędowych czynności:

— No, chłopcy, trza go wiązać!

— Takiego ta wiązać...

— Postronka szkoda!

— Ino się człowiek spaprze...

— Zamrze i bez postronka.

— E — puścić toto... — ktoś mruknął z cicha.

— Bo i prawda — niech ta lezie skąd przyszło.

- Aby do wsi nie szło, to wygonem — nie nasze dzieło.
- Kwardego, co się bije i ludziom we łbach mąci, wiadomo, odstawiaj. Ale takie ta ciaciestwo wiązać...
- Przecie krześcijan...
- A juści! — wrzasnął sołtys — po śladach przyjdą, zobaczą, że my go w rękach mieli i wolno puścili... Ty wtedy za mnie zaświarczysz, mądrala, ty będziesz nahaje brał...?
- No, ja ta nie sołtys. Wiazać, to wiazać.
- Postronka by trza...
- Skocz ta który, postronek przynieść...
- A to niech skoczy który z brzega!
- Rusz się!
- U mnie postronka nie ma...
- Powróśłem związać...
- Bo i pewnie — brzozową witką i tyła...

Oszacowany spostrzegł wyłom w zmurszałym płocie. Wszedł w otwór leniwym krokiem, opierając się na swoim kosturze i począł przebywać zagon po zagonie w ukos pola ku dworskim zabudowaniom. Tam poszedł, bo przejście w tę prowadziło stronę. Tłum za nim postępował, bełkocąc, naradzając się i swarząc. Ktoś szedł z tyłu i nawoływał, żeby się wrócił, to znowu, żeby stanął. Lecz że nie stanął, a zabudowania folwarczne były w pobliżu, więc zbiegowisko chłopów, ciągnące za powstańcem, coraz mniej natarczywie nalegało. Śmiech tylko rozlegał się raz w raz pospólny, głośny na widok najzabawniejszych pokracznych ruchów zbiega. Ktoś z tłumu podjął z ziemi skibę zmarzniętej ziemi i cisnął. Trafił w plecy. Ktoś inny trafił w głowę i przychylił ją niżej jeszcze, ku zagonom. Wołano nań rozmaitymi przezwiskami, lecz z dala i coraz bardziej z daleka.

Młodzieniec dowlókl się do tyłów dworskiej stodoły i oparł o murowany słup plecami. Widział poprzez ognie gorączki zawlekające mu oczy chłopów, którzy stali z daleka i grozili mu pięściami.